

— A siostrzyczka?

— I ona też... chociaż, Bogiem a prawdą, nie jej z tego nie przyjdzie. Żebyś wiedział, co to za dziewczyna — cmoknął ustami — istny cukierek!... Złota Rączka bije ją niekiedy, lecz ja, skoro to zobaczę zaraz ją bronie. I ty musisz bronić, ani pozwalać, żeby jej brzydkimi słowami wymyślano. Nie pozwolisz?

— Nie pozwolę — szepnął Janek i zamyslił się, bo przypomniawszy sobie Zosię i Sabinę, które tak bardzo kochał. Przejęty do głębi smutkiem, powtarzał sobie w duchu: „Kiedy ja je zobaczę! kiedy ja je zobaczę!“ Biegł przy Piotrusiu, wyęzając siły, żeby mu w biegu dorównać, na nic nie patrząc, nic nie widząc, z jedną myślą w mózgu: „Co one teraz robią? Gdzie się przeniosły?“

Chłopcy pędzili teraz jeszcze zwawiej.

Przemknęli jak strzały, przez jedną, drugą i trzecią dzielnicę, położone między mokotowskimi a wolskimi rogatkami. Za ostatnią trzeba było przejść całą długą, główną ulicę przedmieścia, a potem, skręciwszy na bok, zawracać raz na lewo, to na prawo, wśród nieregularnie rozrzuconych lichych kamieniczek i drewnianych domków. Piotr znał okolicę, jak swoją kieszeń i wiódł spotkanego prosto do celu.

— Widzisz, tam... ta pochylona rudera, a nad nią facyatka na piętro... to nasza buda...

— Dokąd mnie prowadzisz? Boję się... boję! — szepnął Janek, nagle jakby ze snu ocknięty. Wychowany w śródmieściu, nie znał zaułków Warszawy i przestraszył się na widok brudnego, odrapanego, niemal walącego się domostwa.

— Prowadzę cię do siebie — odparł Pietrek tonem wyrzutu. — Jeśli mi nie ufasz, powiedz słówko... jeszcze czas. Odprowadzę cię, gdzie zechcesz... do twego opiekuna, czy rodziców. Jeśli namawiałem, byś u nas przyjął gościnnie, byś stancjęką moją ze mną się podzielił, to tylko dlatego, że mi ciebie żał... że wzбудziłeś we mnie litość...

— O! — zawołał Janek, mimowoli wzruszony dźwiękiem szczerości, tętniącym w głosie towarzysza — jesteś dobry... bardzo dobry! Idę z tobą... nie chcę cię porzucić.

XIII.

Na progu tak zwanej przez Piotra „budy“ stała dziewczynka, liczyć mogąca nie więcej jak lat dziesięć, znana w całej dzielnicy pod imieniem Grazielli, chociaż zwała się naprawdę tylko — Rózia.

— Nareszcie! — zawołała, ujrzawszy chłopców. — Byłam już o ciebie bardzo niespokojna. Bałam się, czy co złego ci się nie stało.

— Kto jest w domu?

— Prócz mnie niema nikogo. Czupiradło i Złota Rączka poszli do „bawaryi“ na Wolską ulicę.

— Po co?

— Sprzedawać pomarańcze gościom. Chcieli mnie zabrać z sobą, lecz powiedziałam: „Nie pójdę, głowa mnie boli, ledwie się na nogach trzymam“. Bo widzisz, ile razy na czas nie przychodzisz taka straszna obawa mnie dręczy, że nic robić nie mogę. Zdaje mi się, że już ciebie więcej nie zobaczę.

— O, jakaś ty dobra! — rzekł chłopak, ścisnąc Rózię w objęciach i całując ją kilkakrotnie w oba policzki.

Weszli do ponurej izby, oświetlonej płomieniem małej lampki naftowej.

— Przystap tu stary — powiedział Pietrek zwracając się do towarzysza — i spojrzysz jaką to ja mam siostrzyczkęć cacańa. Prawda, że cudo? He, co? To też kocham ją nad wszystko w świecie!... Ale, ale, jak masz zuchu na imię? Dotąd jeszcze nie przyszło mi na myśl zapytać cię, jak się wabisz.

— Nazywam się Jan... Janek

— Janek! — powtórzyła Graziella, zbliżając się do zmieszanego chłopca.

Oboje patrzyli na siebie czas jakiś w milczeniu. Serce Rózi ścisnęło się na widok wąskiego i wynędzniałego chłopaka. Jego ogromna głowa, gęste włosy, spadające na czoło w nieładzie, jak

pomierzwiona grzywa końska, duże czarne oczy, pełne obawy i niepokoju, wszystko to razem wywarło na dziewczynie dziwne wrażenie, połączone z litością. Bo też Janek i Graziella przedstawiali niezwykle kontrast o krańcowej sprzeczności. Jej pogodne oczy i jasne włosy w długich warkoczach spływające na ramiona, jej ruchy zgrabne i pełne wdzięku, tworzyły całość czarującą, na której oko z rozkoszą spocząć chciało, gdy biedny sierota był raczej brzydkim, a ludziom pospolitym, nie szukającym i nie umiejącym dopatrzeć się duszy w wyrazie twarzy potwornego dziecka, mógł wydawać się nawet wstrętnym.

Rózia podała chłopcu rękę, który wyciągnął do niej swoją. Nieruchomi czas jakiś, spoglądając na siebie dość długo, jakby chcieli wrażenie pierwszego spotkania wrazić i utrwalić w pamięci na zawsze.

Nareszcie Graziella przerywa milczenie i pyta:

— Czy na długo wybrałeś się do nas?

— Na wieki wieków, amen — odparł Pietrek za Janka.



— Co ci to? Sam jesteś?..

— O, to dobrze! Złota Rączka potrzebuje właśnie chłopca do pomocy, ucieszy się więc bardzo, że pozostaniesz. Będzie nas troje, a w troje weselej niż we dwoje. Piotruś prętko cię nauczy, jak należy sprzedawać świętych i inne figurki.

Mówiąc to, Graziella kręciła się z kąta w kąt po olbrzymiej izbie, prawie pustej, bo całe jej umeblowanie stanowił tapczan z siennikiem i brudną pościelą, oraz kilka krzeseł i stół sosnowy.

— Tutaj — szczebiotała Rózia — sypiają: Czupiradło i Złota Rączka. Ja mam małątką komóreczkę na strychu, obok stancjki Piotrusia. Przepierzenie z cienkich desek; można przez nie, jak przez grzebień rozmawiać. Każde słowo słychać. Jak się osiedlisz na facyatce, to nieraz zabawimy się razem... i pośmiejemy się i poweselimy!

Przykryła stół starym dziennikiem i położyła na nim trochę wędlin i chleba. Oczy dziewczynki błyszczały radością.

Jedząc i gawędząc ochoczo, jak starzy znajomi, nie spostrzegli, że czas upływa. Dopiero zegar, bijący w sąsiedztwie godzinę drugą, a za drzwiami odgłos ciężkich kroków, zasygnalizował

twarzyczki i przypomniawszy smutną rzeczywistość. Graziella i Piotruś drgnęli.

— To Złota Rączka i Czupiradło — szepnęły razem.

Drzwi popchnięte silnym uderzeniem pięści, rozwarły się na oścież. Ukazali się w nich mężczyzna i kobieta niosący puste kociołki. Mężczyzna liczył około lat pięćdziesięciu. Twarz jego jakby posiekana mnóstwem blizn białych i czerwonych, wywoływała wprost wstrętne i groźne wrażenie. Jaś, nigdy jeszcze w życiu nie widział tak ohydnej fizjonomii, to też na jej widok zatrząsł się całym ciałem.

— Zkąd się tu wziął ten pędrak? — spytała Złota Rączka, przyglądając się obcemu chłopcu z ciekawością... Zkąd go wyrwaliście u licha? Ooooo, domyślam się, to pewnie Marco Spada go tu przyprowadził, nie pomnąc, że mikrusowi trzeba dać żreć; że to jeden brzuch więcej do napchania. Ale, co to obchodzi Piotrusia, dziecko lubie! — zaśmiała się ironicznie — że w budzie swoi zdychają nieraz z głodu, że ja i Czupiradło musimy

od rana do wieczora ciężko się narobić, żebyście wy papu dostali. O nic nie dba, byle tylko hulał i próżnował!

— O, próżnował.

— Tak, próżnował. Gdy rodzic twój i ja sprzedawaliśmy pomarańcze w „bawaryi“, ty wałęsałeś się gdzieś pod miastem i baki zbijałeś. Winszuję, winszuję! Tym bakiem, którego utrafiłeś, to pewno to grubogłowe ciebie...

— Może źle zrobiłem? co? he? Czyście mi nieraz w uszy nie kładli, że potrzebujecie jeszcze jednego chłopaka do sprzedawania figurek, które kupujecie, czy też bierzecie na kredyt od Bombaliniego.

— Ale szukać go ci nie kazałam. Jesteś taki sam garus, jak twoja siostra, której się widzi, że mamy obowiązek ją żywić, chociaż nic nie robi...

— Jakto nic nie robię? czy nie pracuję, gdy mi jaką pracę zadacie? — odparło dziewczę nieco drżącym głosem.

— Tegoby tylko jeszcze brakowało!... Gdy kto ma takiego, jak ty buziaka, powinien go ludziom pokazywać! Oczu i włosów, jak twoje, nie ukrywa się w budzie, lecz wystawia się na widok publiczny, jak mawiał mój dyrektor, gdy byłam statystką i garderobianą w jego teatrze. Zamiast zaszywać się niby mysz w ciemnej norze, powinabyś latać po Nowym Świecie i Krakowskim przedmieściu, sprzedawać panom bukieci, kwiatki...

Czarne oczy Piotrusia zamigotały ognistymi płomykami. Przysunął się do Grazielli, jakby ją chciał przed babą zasłonić.

— Widzisz go! — zawołał Czupiradło. — Mikrus dęba staje. Chciałby się pojedyńkować o swoją siostrzyczkę. O, ci dwoje, to się trzymają za ręce, jak cygany na jarmarku! Zobaczysz, że za długoletnie

utrzymanie i kupę grosza, cośmy na nich wydali, odwiedzają się w taki sposób, że niby węgorze z rąk nam się wyslizną.

— Milczalbys lepiej! — fuknęła Złota Rączka i zwracając się do Rózi rzekła słodko: — Graziella nie zapomni nigdy, com dla niej uczyniła: nie porzuciła matki za żadne skarby świata! Ona mnie kocha, bo wie, że i ja ją kocham bardzo.

Dziewcze, rozbrojone nagłą zmianą tonu, spojrzęło na kobietę życzliwie.

— Do stu tysięcy fur beczek batalionów dyabłów! — ciągnęła Złota Rączka — jak mawiał dyrektor, gdy kasa była pusta. Czy to nie ja zrobiłam cię, córuniu, taką, jaką jesteś? Czy nie przeważałam cię Graziella dlatego, żeby ludziska wiedzieli z kim mają do czynienia?

— Oj, zdaje mi się, że to Bombalini ją tak przeważał — mruknął Pietrek, uśmiechając się szyderczo.

(Ciąg dalszy nastąpi).